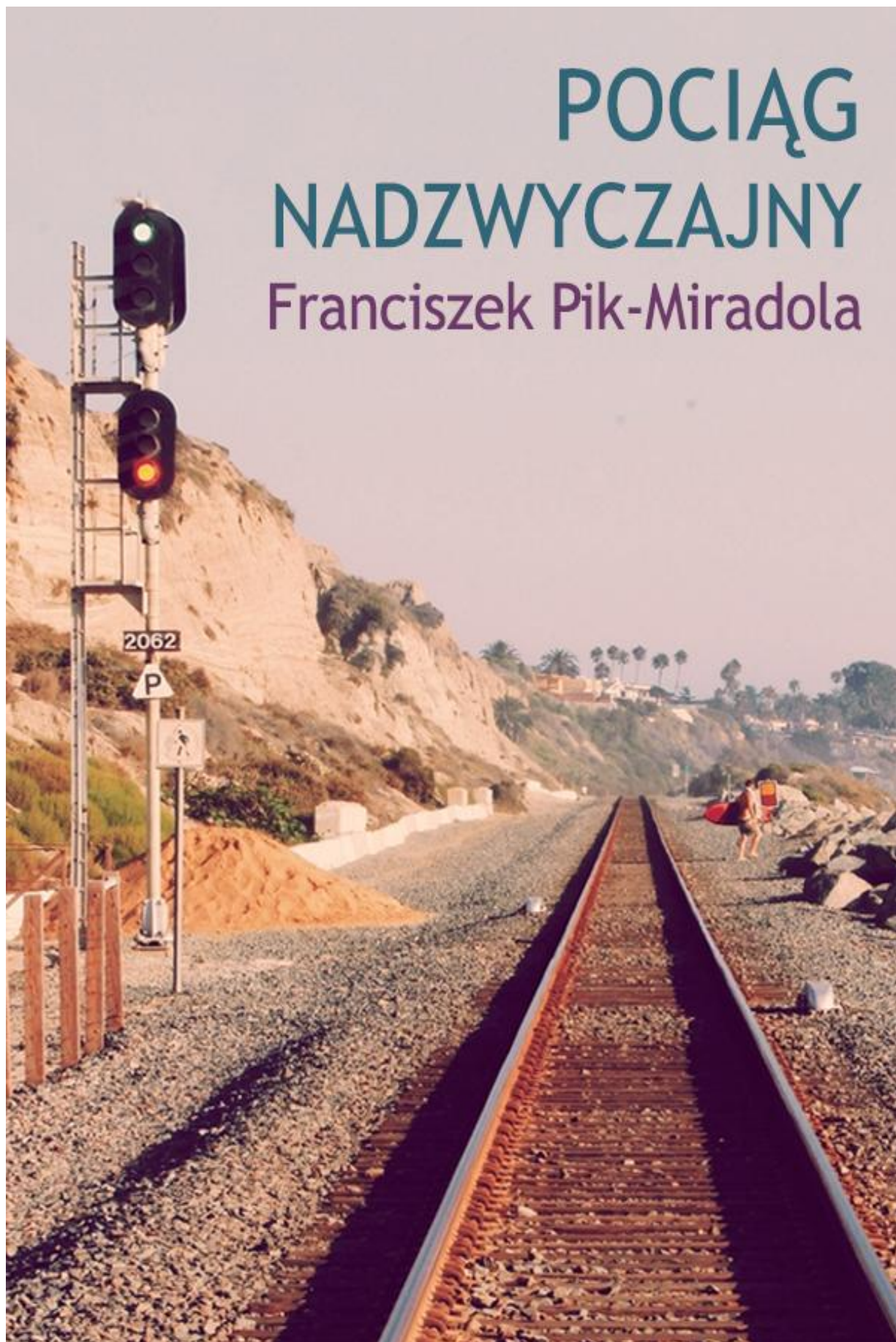


# POCIĄG NADZWYCZAJNY

Franciszek Pik-Miradola



**Franciszek Pik Mirandola**

# **Pociąg nadzwyczajny**

.....

**Fundacja FESTINA LENTE**

Tętniły sygnały. W czarnej nocy jarzyły się ślepie czerwone, zielone, żółte. Jasne trójkąty zwrotnic, plamy lamp i latarni nie oświecały niczego, jakby w zawoje, we mgły kłęby okryte. Majaczyły tu i ówdzie kawałki szyn, porudziałe od drzemiącej na nich poświaty, ale nie szły w głąb, przerywały się co chwila, w głębi zaś była niepewność, ruch chaotyczny i szerokie, czarne pole dla wszelkiego przypadku. W ciemności poruszały się nieokreślone postacie, płały cienie dziwne, zmienne, nieuchwytnie, szemrały w rytm deszczu słowa, brzmiały rozkazy, nawoływania, a wszystko było niespokojne, niepewne, zachwiane w mocy swej przez mrok, mgłę i sieczenie kropel wody. Zdawało się, iż wszystko co ludzkie, co rozumem urządzone i przewidziane, co doświadczane w rozlicznych wypadkach i w warunkach światła i pogody teraz skurczyło się, zmałało i tylko jeszcze sili się na ton pewności, na spokój i powagę, ale wszelaka gromkość i rozmach zatapia się w pomroce, staje bezsilną demonstracją, pozorem... niczym.

Panował LOS. Właśnie przed chwilą objął służbę. Siedział niewyspany, spotniały u stolika i poruszał drżącą ręką papiery. Przed nim giął się w dziwnych ruchach młody człowiek. Naciągał pośpiesznie

mundurowy płaszcz, jednocześnie recytując sprawozdanie:

— Pan naczelnik spóźnił się nieco, przeto odebrałem z przestrzeni, co trzeba... regularnie... tylko nadzwyczajny... ostre krzyżowanie z personką... nic szczególnego... jakaś wycieczka... zatrzyma się,.. aha... tu nowe doniesienie na Gnoma... Był... prosił... Zresztą najmocniej przepraszam... mam tu pożegnać siostrę... sługa najniższy... upadam do nóg Pana naczelnika dobrodzieja!

Znikł w otworze drzwi, zanim zawiadowca mógł mu rzucić swe ospałe „Dziękuję!” Zawiadowca potniał i trząśł się jednocześnie. Kołnier munduru podstał w górę skutkiem siedzenia na niskim krześle. Dławił go. Lekki, ale nieznośny szum w głowie... drganie jakiegoś ogromnie przykre w całym ciele... od czasu do czasu strzyknięcie... ale nade wszystko ten straszny ruch w żołądku, ten dziwny ruch skądś z głębi trzewi... ku gardłu... uuuch! Ta fala kwaśna, gryząca, co niesie na siebie różne smaki... Drżał... ale poprzez wszystko słyszał jeszcze tętnienie dzwonka elektrycznego... Służba...

Zwłókł się z krzesła, westchnął i skierował się ku drzwiom. Idąc, otulał się starannie płaszczem.

Wkroczył w noc i począł się posuwać naprzód, nastawiając głowę pod prąd wiatru, który mu rzucał deszcz w oczy. Nie widział nic. Ledwie postąpił kilka kroków, zatoczył się, z nagłą potracony.

— Uważaj cymbale! — krzyknął za spieszącą się postacią.

— Sameś cymbał! — usłyszał odpowiedź.

Zatłukło mu się w żołądku, uczył zawrót głowy. Za chwilę, gdy jakoś przeszło, powlókł się dalej drogą, przecinaną przez światło i ciemność, ku zwrotnicy.

Irytowało go wszystko. Podniesione kołnierze płaszczów u służby kolejowej, wciśnięte na czoła czapki, ostrożne chlupanie nóg po wodzie, to że nikt go nie spostrzegął, nie kłaniał się...

— Michał! — zawołał wściekły.

Ale nikt mu nie odpowiedział.

— Bydło! Bydło! — mruczał pod nosem. —  
Niechże was diabli...

Uczuł, że idąc, ociera się o ludzi, o większe grupy ludzi szepczących.

— Tyle ludzi... tutaj... w takiej dziurze... i to wśród deszczu?

Przyśpieszonym krokiem ktoś biegł za nim. Obrócił się.

Coś dźwięczało, światło latarki podskakiwało.

Zatrzymał się.

Człowiek ociekający wodą, zadyszany począł mu się w pas kłaniać.

— Melduję się posłusznie... Gnom... ślusarz... kontrola osi... proszę też łaski Pana naczelnika... przepraszam... ale potem odjeżdżam szesnastką...

Wielka torba zwisała mu z ramienia niemal do ziemi, na piersiach miał latarkę, w ręku młotek na długiej rękojeści.

Zawiadowca wyprostował się z godnością.

— To wszystko nieprawda... co on tam napisał... to fałsz... klnę się, przysięgam... proszę też łaski wielmożnego pana naczelnika...

— Daj mi spokój! Co mnie to... pójdzie do dyrekcji!

— Na rany boskie... na rany boskie... niechże się Pan naczelnik zmiłuje... To wszystko ten Fafajda... on, na pewne... ze szczerej zazdrości.

Ale zawiadowca nie słyszał lamentu. Już od chwili począł chwytać jakieś dziwne słowa, nastawił tedy uszu. Od bliskiej grupy ludzi szedł szmer głośny. Z podniesioną do postawienia kroku nogą postłyszał początek, ale zanim się doczekał końca, chlupnął w wodę. Prysnęła wysoko. Mimo że uczuł ją na twarzy, nie przyszło mu na myśl zakląć. Podniósł tylko rękę i przerwał potok wymowy ślusarza. Słuchał.

— Jada! Jada! — mówił głos w ciemni.

— O Boże! Ześlij na nich swoje błogosławieństwo!

— I na ich dzieci i na ich mienie.

— Cudny lot... hej orły... hej orły nasze...

— Wszyscy!

— Dusza świetlana idei wzięła tysiąc ciał, aby się wyżyć mogła potężniej... szczytniej...

— Historia zapisze... ten dzień... to miejsce...

— Cicho... cicho... konspiracyjnie...

— Nie będę cicho... za długo byliśmy cicho! Niech żyją!

— Tak! Rzecz się domaga wielkich słów... hymnu...

— W ogóle... czemu się to dzieje w nocy?

- Jak to... a policja...
- Cicho Władek... tyle razy ci już tłumaczyłem...
- Ale bajki... dziś jest co innego...
- Stulże pan pysk! Proszę najuprzejmiej...
- Kto gada?... hej...
- Cicho... słyszałem, że naczelnik zakonspirowany... służba... wszyscy...
- Acha! Więc będą mowy...
- Kto to gadał o pysku?
- Już poszedł. Daj pan spokój.
- Ale niech ten pan nie przychodzi...
- Dobrze. Powiem mu!
- Śmiech się zerwał, ale ucichł zaraz.
- Jada wszyscy. Powiadam wszyscy. Tego nie było jak dawna historia!
- Kwiaty... powiadam kwiaty! Myśl przyszła rankiem i wzięła w welon swój złocisty wszystkie kwiaty, jakie zakwitły w ogrodzie. Niesie je do BOGA. Oto, powie mu, co znalazłam w ogrodzie. Nie daj go podeptać... nie daj! Takie wydaje kwiaty...
- A jednak nie wolno kwitnąć... *strengstens verboten*...
- Cicho... cicho... nie słyszę dudnienia szyn, a przecież ja jestem od słyszenia, jak dudnią szyny...
- Chronić ich Panienko Najświętsza!
- Wszyscy wstali przed świtaniem... biali starcy... cudne kobiety...
- Pany... chłopcy... chłopcy... pany...
- Kwiat narodu!

— Cicho! cicho! — doleciało z dali — Delegacje z wieńcami naprzód!

— I czemuż to tutaj? Taka dziura!

— Dokument... Znak... Gdzieindziej... nie wolno. Ktoś zbliżył się szybko do grupy.

— Kolego... a gdzie Prezes, nie mogę go znaleźć!

— Prezes?... Zajrzyj do bufetu.

Skądś, z dalsza dobiegła komenda.

— Porządek! Baczność! Chodem marsz!

— Do jakichże cudnych zórz płyniecie duchy... na jakież jasny szczyt?

— Poeto... potem... potem...

Zaszeleściło wokół, jakby wieńce tarły się o siebie w ciemku liśćmi lauru i szarfami o złotych napisach.

Zawiadowca chwiał się na nogach jak pijany.

Ślusarz, włożywszy młotek do torby, oburącz ujął go za łokieć.

— Jezus Maria! Cóż to wielmożnemu panu naczelnikowi!

— Nic, nic! — odparł. — *Herr Gott...* i żadnej instrukcji! A może co jest! Może telefon... nikogo nie było przy aparacie... *Herr Gott!*

Porwał się za głowę i z miejsca ruszył pędem do biura.

Leciał. Woda bryzgała mu na twarz, na piersi, na czapkę, tryskała wokoło tak, że ludzie rozskakiwali się przed nim.

W biurze stukał aparat. Puścił pasek i wpił się weń wzrokiem.



— *Sechs Wagen Zuchtschweine...* Kierpeć & Kula...  
Dziedzice... nie, nie... Szła jakaś depesza.

Skoczył do telefonu. Zadzwoił.

Cisza. Dzwonił... dzwonił... dzwonił...

Poprzednia stacja spała już widać po wypuszczeniu w odstępach obu pociągów. Personka tutaj schodziła na drugą linię.

— *Herr Gott! Herr Gott!*

Rozpaczliwie rozejrzał się wokoło, szukając pomocy.

Przy drzwiach stał ślusarz. Oczy miał szeroko otwarte, przerażone. Młotkiem na długiej ręczce wywijął w powietrzu młyńca.

Zawiadowca patrzył jak lunatyk.

— Tak, tak! — przemknęło mu przez myśl na widok tego wywijania. — *Aushalten...* Dobrze by było, ale jak... jak to zrobić...

Patrzył na ślusarza i kiwał głową jak oszalały chińczyk porcelanowy.

Wreszcie zdecydował się. Siadł przy aparacie i znakiem właściwym przerwał depeszę.

— Mniejsza z tym — pomyślał — zapłacę... wytłumaczę się... pal diabli te świnie zatracone!

Wołał... wołał... wołał... alarmował... beształ wreszcie kolegę siedzącego przy przesyłaczu... groził doniesieniem... Cisza.

— Ja ci dam obrazę, szelmo jakaś! — wrzasnął. — Nie gada łajdak! Pewnie wziął za świnie... Kanalie! Kanalie!

Zaczął rozpaczliwie wołać:

— Michał! Michał! Michał!... Jarzyński... *Lampist!*  
— Był bezprzytomny.  
— Dobrze by pana Ignaca! — poddał ślusarz.  
— A gdzie pan Ignac?  
— Niby na placu.  
— To leć!  
— Lecę. Ale on nie na placu skrós tej panny...  
wiadomo...

— Więc gdzie.

W tej chwili zadudniło na dworze, przemknęły przed oknami biura czerwone oczy wielkiej lokomotywy, zazgrzytały hamulce, okrzyk z wielu, wielu piersi wstrząsnął powietrzem, stało się niemal jasno, a wszystko pokryła sobą fala pieśni potężnej, rozlewnej, zrywającej tamy ciemności, wątpienia, niepewności i złudzeń.

Zawiadowca zaraz za progiem utknął w tłumie. O pełnieniu służby nie było co myśleć. Noc wyrzuciła z siebie masy niezmierne i stłoczyła tak, że pociąg ugrzązł w nich formalnie. Jaśniał jak brylant na czarnym aksamicie, na tle nocy.

Okna zatłoczone były głowami, ale rysów rozpoznać nie dało się stąd.

Tysiące rąk powiewało chustkami, kapeluszami...

Serca tętniły głośno, gorący oddech uniesienia kłębił się jak kurzawa gęsta nad ludźmi i coraz huczniej, śmielej, płynęła pieśń.

Zwycięzać noc...

Iść świtem poprzez ciemnie...

Wstań! Wstań!  
Wstań! Budzę cię tajemnie...  
Wstań budzę cię o zorzy...  
Jestem moc...  
DUCH BOŻY!  
Niewoli gród...  
Zburzyły wichry duchy  
I każdy niesie krzyż...  
Bierwiono każdy wlecze  
Mój LUD.  
Przenosi ściany wzwyż...  
Nad mgły, nad zawieruchy...  
Serca człowiecze.

Rozchwiały się pieśnią ciemności... rozświetliły,  
dodając ech, dodając modulacji nieskończonych, jakby  
wszystko jeszcze było za małe, zbyt nikłe.

Ludzie powtarzali słowa niejasne, radosne, pełne  
obietnic, łkali... Przerywano okrzykami. Chwilami  
słysząc było teraz głos mówcy.

— ... Symbolem odnowy... ruchu zbiorowego w  
przyszłość... Jakież naród widział podobny czyn? W  
ciszy głębokiej, kiedy prześladowcy zasnęli, zeszedł  
anioł z nieba i usiadł na grobie. I pękła płyta, gdy jej  
dotknął dłonią...

Jakaś grupa poczęła śpiewać. Uciszone  
śpiewających.

— ... Bo oto Pan woła cię na ucztę, a chleb, który z  
tobą łamać pragnie, jest to nowe życie... a wino, które  
chce z tobą dzielić, to krew odnowy. Zaprawdę... któż

widział taką komunię narodu, od kiedy istnieją narody ziemi!

Wśród ciszy poczęło coś dzwonić. Od czasu do czasu brzękło coś, jakby opadła jakaś ogromna kropla wody.

— Dzyńńń!

— ...Więc patrzy świat zdumiony na duchy żurawie, które za cichym głosem płyną ufne, beztroskie... klucz karny i potężny tą powolnością dla głosu...

— Dzyńńń!

Podniosły się głosy oburzenia.

— Cóż to za cymbał tak dzwoni... wyrzucić go!

— To nic! Kontrola osi... głupstwo. Nie przerywać! Cicho!

Znowu wybił się głos mówcy.

— ... Nie wiedział wróg, że na pustce wioski malej przystanął orszak królewski, korowód sławy. I któż znał nazwę tego miejsca wczoraj jeszcze?

— Dzyńńń! — brzęczało coraz bliżej.

— Podobnie nikt nie zna przed bitwą nazwy, która złotymi zapisze się głoskami w Panteonie serc, nikt nie wie, gdzie leżą nasze przyszłe Grunwaldy ducha... I może właśnie tu... może właśnie tej nocy...

— Dzyńńń!

Wszczął się rumor.

— To nie do wytrzymania...

— Dawać draba jednego... to umyślnie...

— To jakiś anarchista...

Nagle rozbrzmiało wołanie gromkie.

— Na bok! Na bok! Pociąg idzie! Uciekajcie!

A jednocześnie zajękła gwizdawka urzędnika.

— Jazda! Odjazd!

Odepchnięty strachem niebezpieczeństwa i łokciami służby tłum zatoczył się wstecz. Odkrył się tor przed pociągiem nadzwyczajnym.

Zamigotały latarnie i na stację wpadła „personka”.

— Odjazd! Odjazd!

Trąbka zabrzmiała i pociąg nadzwyczajny ruszył powoli. Daremnie jednak sunął przed osobowym.

„Personka” zakryła go powoli długością swoją.

Dwa te ruchy tak się zmieszały, pożegnanie tak zostało nagle przerwane, że tłum przez chwilę oniemiał i dopiero kiedy zabrzmiał hymn, począł się znów kołysać i falować.

Ale był to już ruch wstecz. Nagle powiało zimnem, wszyscy spostrzegli, że ciemno i że deszcz pada... że daleko do domu... pod dach bodaj...

Zawijano się troskliwie w okrycia i wszystko potoczyło się ku wyjściu.

Tłoczono się teraz, ale inaczej... ordynarnie... szukano sobie miejsca kułakiem, gdy inaczej być nie mogło, Tu i ówdzie ktoś zaklął. Spluwano gęsto, ucierano nosy. Przez chwilę tętniły miarowe kroki, jakby odchodzącego oddziału. Milkło wszystko tak szybko, jak szybko znikają obrazy snu czarownego, przepadało, jak one, niknące przecież zanim się jeszcze rozewrą oczy zbudzonego.

Osobówka była długa, ale niemal pusta i ciemna.

Z jednego tylko wozu dochodziło jęśliwe  
zawodzenie jakiegoś znudzonego alkoholika.

— Ooooooj! Mówiła wrona wrooonie... Nie chodź  
pooo zagooonie...

Z innego wozu dama w chusteczce na głowie  
wyglądała ciekawie.

Ktoś jej rzucił słowo.

Roześmiała się i odrzuciła dowcip oklepany.

Thum topniał, wsiąkał doszczętnie w noc, jak woda  
w czarny miał węglowy zaścielający ziemię na stacji.

Konduktor osobówki z latarką uczepioną u guzika  
wychylił się daleko poza pomost wagonu i patrzył, czy  
w dali dostrzeże trójkąt zwrotnicy, wskazujący, że  
nastawiona dobrze.

Drugi chodził machając lampą. Od zwrotnicy  
kroczył zawiadowca. Gdy się zbliżył, podniósł do ust  
gwizdawkę i dał sygnał. Jęknęła trąbka. Osobówka  
powoli poczęła się posuwać.

Znudzony pasażer zanucił znowu:

— Ooooj mówiła wrona wrooonie...

Dama rzuciła w ciemń całusa.

Gdy pociąg przeszedł, ukazał się widok  
niespodziewany.

Przygasły już nieco... nieco rozespany stał jednak  
ciągle jeszcze pociąg nadzwyczajny, stał sobie  
spokojnie na torze i czekał.

W snopach przenikającego co jeszcze światła,  
widniały zarysy wieńców, połyskiwały cylindry,  
migotały kapelusze pań, ale czasem mignął odejścia

osobówki. Stał w powietrzu... układano się do snu widocznie.

Zawiadowca stał w miejscu, gdzie dawał sygnał też biały rękaw koszuli, szal się zatrzepotał.

Powoli z ciemni wyblysnęła iskierka latarki niesionej i poczęła się zbliżać.

Był to ślusarz, wracający po służbie. Szedł, a ramię opadało mu ku ziemi pod ciężarem wielkiej torby, z której sterczała długa rękojeść młotka.

Właśnie przechodził pod oknem jednego z wozów pociągu nadzwyczajnego, gdy okno się opuściło w dół i siwy jegomość, wychyliwszy się, zawołał:

— Panie... człowieku...

— A wedle tam czego? — odmruknął niechętnie ślusarz.

— Prędkoż my pojedziemy dalej?

— Ha... Bóg to raczy wiedzieć, proszę jaśnie pana dobrodzieja...

— Cooo?

— Osie mają *heisslauf*... proszę jaśnie pana dobrodzieja...

— Co to znaczy? A może my musimy przesiadać...

— Ta niby to i tak by znaczyło... ale nie da rady... bo nie ma wozów na takiej małej stacji, proszę jaśnie wielmożnego...

Zawiadowca LOS uśmiechał się teraz. Nie czuł już nudności... ani nawet strzykania w głowie. Ba, samo nawet owo drzenie bolesne gdzieś się podziało. Nie ma jak emocja... nie ma jak ona... — myślał.

— Na Boga... cóż to wszystko znaczy! —  
wykrzyknęła spoza jegomości jakaś dama otulona w  
szal.

— To znaczy, proszę jaśnie pani dobrodziejki, że  
osie mają *heisslauf*.

— Więc może pan, panie zawiadowco — zwrócił  
się do stojącego nieco dalej — może pan zechce  
łaskawie poinformować mnie, dokąd będziemy tak  
stali?

Zawiadowca podszedł z ugrzecznieniem i przyłożył  
rękę do daszka kepi.

— Aż do dalszego zarządzenia łaskawy panie... aż  
do zarządzenia... które oczywiście... naturalnie... ale  
proszę się nie obawiać... już dałem notę... właśnie dałem  
notę.



Franciszek Pik-Mirandola  
*Pociąg nadzwyczajny*

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-369-9  
Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINA LENTE

[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)